

Agata Kunderman

WRÓŻDA

Copyright © 2023 AGATA KUNDERMAN

All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, IZABELA NESTIURUK,

OLGA KOZŁOWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia wykorzystana na okładce:

KARINA VEGAS / ARCANGEL

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-45-7



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

Agata Kunderman

WRÓŻDA

Dla Hani i Olisia –
w podziękowaniu za siłę, którą codziennie mi dają



KRAKÓW 2023

ROZDZIAŁ I

Nie można wciąż dryfować pomiędzy początkiem a końcem.

Ostatni raz.

Ostatni.

Stoję na progu swojego mieszkania, wierząc, że koniec właśnie nadszedł.

To śmieszne. Prawie wszystkie ostatnie razy umiemy dostrzec dopiero wtedy, kiedy nie tyle się wydarzą, co po prostu miną niezauważenie. Po jakimś czasie zdajemy sobie sprawę, że „kolejny raz” nie jest już możliwy, ale nie mamy pojęcia, kiedy wydarzył się „raz ostatni”.

Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni jechałam z rodzicami na wycieczkę i mogłam sobie pozwolić na pełną bez troskę. W pewnym momencie byłam już zbyt duża, zbyt dumna i za bardzo „dorosła”.

Nie pamiętam, jak wyglądała ostatnia lekcja historii z ukochaną nauczycielką w klasie maturalnej. Pewnego dnia wstałam zza wyszczerbionego blatu szkolnej ławki, a krzesło głośno przesunęło się po podłodze.

Kiedy ostatni raz w życiu zjeżdżałam na worku wypchanym słomą z ośnieżonej górkę, nie myśląc o tym, że wynaleziono już sanki lepsze, szybsze, ładniejsze i prosto z chińskiej fabryki?

Nie wiemy też, kiedy dziecko przychodzi się przytulić po raz ostatni. Pewnego dnia po prostu jest już duże, samodziel-

ne i całkiem inne. I chociaż w labiryntach pamięci staramy się odnaleźć ten moment, tę chwilę, to uczucie... Pusto.

A co, gdyby wiedzieć? Oto ostatni raz jestem dzieckiem na wycieczce z rodzicami. Cudownie miękka jest kanapa poloneza, podmuchy wiatru płaczą włosy, bo jedyna znana forma klimatyzacji to okna uchylone podczas jazdy. Rodzice dyskutują, ja gapię się przez okno i błędzę myślami wokół kompletnych głupot, bo mogę. Bo to taki czas.

Co, gdyby docenić ostatni zjazd dobrze zmrożoną i doskonale wyslizganą trasą niezbyt stromej górki, która wtedy wydawała się olbrzymia? Kręcić się wokół własnej osi i śmiać tak głośno, jak nigdy przedtem i nigdy potem?

I gdyby ten ostatni raz tulić malucha tak mocno i tak długo, jak tylko na to pozwoli. Godnie pożegnać się z tym przywilejem, wstrzymać na chwilę oddech, zatrzymać świat. Bo oto ten ostatni przytulas. Najostatniejszy. Jaki nie wróci już nigdy.

„To już ostatni raz”. Ta myśl pelźnie przez moją głowę, a ja ze wszystkich sił staram się w nią uwierzyć. Dziwna, ciężka kula, którą noszę od kilku dni w okolicach serca, zdaje się teraz przemieszczać w stronę żołądka. Wcale nie jest mi z tym lepiej. Nadal spowalnia moje ruchy i utrudnia każdy krok.

Stoję na progu swojego mieszkania. Omiatam wzrokiem sterylnie czysty przedpokój. Na białych ścianach nie widać nawet charakterystycznych zabrudzeń tworzących się wokół obrazów czy ramek na zdjęcia. Nie znaczy to jednak, że nigdy nic na tych ścianach nie wisiało.

Powoli ruszam naprzód, kroki niosą się delikatnym echem. W kilka dni spakowałam swoje życie w torby i re-

klamówki, a firma transportowa zabrała je do Poznania. Do miejsca, w którym wszystko ma zacząć się od nowa.

Wchodzę do salonu, gdzie na sfatygowanym stole leży kilka reklamówek. Pod nim stoi duża torba podróżna. Przez chwilę kielkuje we mnie myśl, by chwycić to wszystko i w jednej sekundzie opuścić mieszkanie na zawsze. Coś jednak sprawia, że nie jestem w stanie tego zrobić. Przyglądam się ścianom, przysłoniętym do połowy oknom, pustej donicze stojącej na parapecie. Od dawna nic w niej nie rośnie.

Kilka kroków przez salon i jestem w części kuchennej. Niewielka, urządzana z prawdziwą pasją. Miała być sercem tego domu. I była, dopóki nie rozpadła się jak ten cholerny domek z kart, który zawsze w takich sytuacjach służy swoim przykładem. Mijam kuchnię bez zatrzymywania i zmierzam do sypialni. Stoję w progu i toczę wzrokiem po pustych ścianach i podłodze. Zwinięta karimata i śpiwór już od rana czekają w salonie, nie mam tu czego szukać. Wiem jednak, że nie o to pomieszczenie chodzi tej części mnie, która kazała mi jeszcze raz przespacerować się przez to mieszkanie. Odwracam się i patrzę na białe drzwi, które – nie licząc ostatniego tygodnia – nie były otwierane przez kilka ostatnich lat. Robiłam wszystko, by zapomnieć o tym pokoju i wymazać go z planu mieszkania. Przechodziłam obok niego setki razy i nigdy nawet nie dotknęłam klamki.

Delikatnie oplatam klamkę dłonią, jakbym się bała, że przez zbyt mocny dotyk drzwi się rozpadną. Lekkim pchnięciem sprawiam, że drzwi otwierają się niemal bezszelestnie. W pierwszej chwili widzę niewiele, bo uderza we mnie moc-

ny promień słońca, zaglądnący przez brudną szybę w oknie. Po chwili oczy przyzwyczajają się do intensywnego światła i mogą dostrzec wszystko, co jest w środku.

W rogu, tuż pod oknem, stoi białe łóżko. Na ścianie obok niego rzuca się w oczy naklejka – wielki miś trzymający w łapce balon. Miś frunie gdzieś na nim, łagodnie się uśmiechając. Pełno tu półek z książkami, nie zabrałam ani jednej. Wszystkie historie w nich opisane i tak znam na pamięć. Delikatny dywan – szary, zdobiony złotymi grochami, teraz jest przykurzony i oklapły. Tuż obok wielka, brązowa skrzynia. Nabytek z targu staroci. Do ciężkiego wieka w okolicach zamka przywiązana jest niewielka drewniana literka „T”. No i w końcu żyrandol, moja duma. Szukałam go tygodniami, aż w końcu udało mi się go kupić przez jakąś amerykańską stornę. Ma kształt Saturna, z charakterystyczną, przekrzywioną orbitą. Moja córka się w nim zakochała... Przy jednej ze ścian piękne drewniane biurko w białym kolorze i krzesło dla czterolatki. Jego kółka wytarły w podłodze jasną, okrągłą plamę. Mała spędzała przy biurku mnóstwo czasu, kochała malować. Zazwyczaj ozdobiony dziecięcymi pracami pokój, teraz rażący w oczy czystością ścian, daje do zrozumienia, że od dawna jest niezamieszkanym. Pogniecione i lekko dotknięte upływem czasu kartki leżą w którejś z szuflad, schowane głęboko, jakby nigdy nie istniały. Odważyłam się zabrać tylko jedną, ale włożyłam ją do teczki, do której nie miałam zamiaru zaglądnąć. Chciałam w ten sposób przegnać lęk, który podpowiada, że bez namacalnych dowodów kiedyś przestanę wierzyć, że ona naprawdę istniała.

Wciąż stoję w bezruchu. Serce bije mi szybciej, niemal sprawia mi to ból. Wracają przed oczy obrazy, których nie udało mi się wyrzucić z pamięci: bawiące się dziecko, porzucane zabawki, idealnie ułożone na półkach książki, czytane wieczorem, tuż przed snem. Wspomnienia są miłe, przyjemne, ale wyświetlane w pamięciowym filmie sprawiają, że każdą komórką ciała czuję nieokreślony ból. Tym silniejszy, im dłużej na ten film patrzę.

Klatka piersiowa prawie piecze, ręce i nogi są jak z waty, oczy przysłania mgła. W obawie o to, że nigdy nie będę na to naprawdę gotowa, odwracam się i ciągnę za klamkę otwartych drzwi. Zamykają się z głuchym łoskotem, który dzwoni mi w uszach i głowie, gdy stoję w pustym korytarzu.

Czas się z tym pogodzić: Tosia już nigdy nie wróci.

Do salonu prawie biegnę. Rzucam się w stronę ostatnich bagaży, chcąc jak najszybciej wyjść z mieszkania. Liczę na to, że uciszy to mój ból i sprawi, że będę mogła oddychać. Zdecydowanym krokiem ruszam w stronę drzwi wyjściowych. Kilka metrów dzieli mnie od ostatecznego pożegnania się z całym moim wcześniejszym życiem. Tym, które doskonale znałam i którego pragnęłam. I choć przygotowywałam się do tego już od dawna, to właśnie te ostatnie kroki ku drzwiom są najtrudniejsze.

Chwytam za klamkę, ale duża podróżna torba wyślizguje mi się z dłoni i z ciężkim pacnięciem upada na podłogę. Klękam na podłodze tuż obok drzwi. Zaczynam głębiej oddychać, łapczywie pochłaniam powietrze. Muszę się uspokoić, nie chcę już płakać.

Z chwilowego marazmu wyrywa mnie dźwięk telefonu. Numer, którego nie znam, zapewne taksówkarz.

– Halo?

– Spakowana? – Szorstki męski głos w słuchawce pyta tak, jak gdyby jego właściciel doskonale mnie znał. Czuję się dziwnie.

– Czekasz pan na dole? – Postanawiam zignorować jego pytanie. – Za chwilę zejdę.

– Nie spiesz się, taksówki jeszcze nie ma. – W tym pewnym siebie głosie jest coś, co mnie niepokoi.

– Słucham? Z kim rozmawiam? – Sytuacja jest dziwna i sprawia, że nie do końca wiem, co mam powiedzieć.

– To teraz nieistotne, Joanno.

Mrozi mnie na dźwięk mojego imienia. Z każdą sekundą tej dziwnej rozmowy rośnie we mnie niepokój pomieszany z irytacją, czuję, że coś jest bardzo nie tak. Jestem pewna, że nigdy wcześniej nie słyszałam tego głosu.

– Kim ty jesteś i skąd mnie znasz? – pytam twardo, chcąc pokazać mojemu rozmówcy, że mnie nie przestraszył, chociaż nie mam pojęcia, czy w ogóle mu na tym zależy.

– Jestem starym znajomym kogoś bardzo ci bliskiego. Jak się postarasz, dowiesz się, o kogo chodzi. Mam ci coś do powiedzenia i chciałem cię złapać, jeszcze zanim ruszysz w stronę Poznania.

– Co to ma znaczyć?! Powiedz, do cholery, kim jesteś i czego ode mnie chcesz, albo się rozłączam! Nie mam ochoty na głupie żarty! – Czuję, jak w moim żołądku ponownie rośnie ta ciężka kula, która zawsze poprzedza ataki paniki.

Po tych wszystkich wydarzeniach nawet pozornie mało stresująca sytuacja jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

– Nie chcesz się rozłączyć. – Szorstki głos wydaje mi się teraz obrzydliwy, oślizgły w swoim chropowatym brzmieniu. – Lepiej, żebyś usłyszała to, co chcę ci powiedzieć.

– Mów i spadaj. – Licząc na koniec tej dziwnej rozmowy, uznaję, że nie będę wdawać się w żadne dyskusje. Zaraz się pewnie dowiem, że to głupi żart.

– Twoja córka Tosia... – nagle przez całe moje ciało zaczynają biec paraliżujące ciarki i stopniowo docierają nawet do koniuszków palców u rąk i stóp – ma siedem lat, śliczne blond loczki i zielone oczy.

Czuję, jak w moich żyłach zaczyna gotować się krew. Milczę przez kilka długich sekund, ale kiedy wypowiadam kolejne słowa, mój głos jest stanowczy i pewny.

– Posłuchaj, pieprzony psycholu. – Na wspomnienie mojej córki czuję, jak ogarnia mnie prawdziwa furia. Ktokolwiek ośmielił się wykonać taki telefon, przekroczył wszelkie granice. – W tym momencie odsuwam od ucha telefon, wciskam czerwoną słuchawkę i bardzo cię proszę, żebyś wypierdalał. A jeśli zadzwonisz do mnie jeszcze raz, zgłoszę to na policję!

Natychmiast robię dokładnie to, co zapowiedziałam. Drżącym kciukiem wciskam na ekranie telefonu czerwony przycisk i przerywam połączenie. Wpatruję się w bezruchu w dziewięć cyfr numeru telefonu, z którego ktoś wykonał to połączenie. Po chwili znikają z ekranu, a ten zmienia się w czarne lustro, w którego odbiciu widzę swoją przerażoną twarz.

Kto? Kto może być tak podły, by robić takie rzeczy? Po śmierci mojego dziecka, prawie trzy lata temu, codziennie czekałam, aż wydarzy się coś podobnego. Aż przyjdzie ktoś, kto powie, że to nieprawda. Że Tosia wciąż żyje. Czekając na cud, topiąc się we własnej rozpacz, otarłam się o śmierć.

Odkładam telefon na podłogę i siadam, opierając się o drzwi. Ukrywam twarz w dłoniach i wciąż jeszcze czuję, jak panika paraliżuje moje ciało. Palce u rąk mam zdrętwiałe, po całej mojej twarzy wędrują nieprzyjemne ciarki, oczy zachodzą dziwną, szarawą poświatą. Powinnam głęboko oddychać, ale nie mam na to siły. Poddaję się lękowi i nie pierwszy już raz przegrywam walkę z atakiem paniki. Po wielu doświadczeniach z tym związanych wiem jednak, że w końcu minie. Siedzę tak jeszcze chwilę, trzęsąc się i starając uspokoić ciało i umysł. Ustabilizować sytuację.

Odłożony na podłogę telefon głośno wibruje. Jeden krótki sygnał – dźwięk przychodzącej wiadomości. Niepewnie biorę smartfon do ręki. Zesztywniałe palce mają sporo trudności, by odblokować ekran. Czuję kolejne uderzenie paraliżującego gorąca – dostrzegam, że to wiadomość od numeru, z którym właśnie się rozłączyłam. Klikam w okienko. Wyświetla się szary prostokąt, który zwiastuje, że za chwilę na ekranie pojawi się jakieś zdjęcie. Serce chyba przestaje mi na chwilę bić, znowu czuję piekący ból w klatce piersiowej.

Obrazek w jednej chwili wyświetla się w całości. I choć patrzę na niego, to nie do końca dociera do mnie to, co na nim widzę. Czuję się tak, jakbym przyglądała się sobie z boku. Jakbym widziała kobietę, która siedzi na podłodze pustego

mieszkania, przerażona i oniemiała. Jednak ból odczuwam realnie i to on przywołuje mnie z powrotem do mojego ciała. Ścisk żołądka i łomot serca – doskonale to znam.

Truchleję, kiedy w końcu dociera do mnie, co widzę na zdjęciu. Telefon wypada mi z dłoni i z trzaskiem ląduje na podłodze.

POWRÓT I

SZCZĘŚCIE

3 LATA WCZEŚNIEJ

Wszyscy pragniemy szczęścia i bardzo o nie zabiegamy. Ale kiedy już przyjdzie, zaczynamy rozglądać się trwożnie za rachunkiem, jaki nam przyjdzie za nie zapłacić.

Jonathan Carroll

– Tośka, proszę cię, wkładaj już buty! Jeśli nie wyjdziemy w ciągu pięciu minut, znowu się spóźnimy.

Dziewczynka o jasnych włosach, ubrana w dziecięce jeansy z wizerunkiem dwóch pluszowych misiów na kolanach oraz granatową koszulkę z kołnierzykiem, skrzywiła się delikatnie na ponaglenie matki. Niepocieszona zbyt krótkim snem i brakiem możliwości dokończenia odcinka *Psiego patrolu* podczas szybkiego śniadania, odburknęła:

– Idę już, idę. Ale włączymy baję po peczkolu?

Joanna przeglądała się właśnie w lustrze. Szary garnitur w delikatną kratkę doskonale pasował do nowych, brązowych botków. Subtelny makijaż, w tym również lekko różowe usta, współgrał z ciemnymi oczami. Brązowe włosy związane w koński ogon z pozostawionymi z przodu przy każdym uchu dwoma kosmykami dopełniały obrazu kobiety zdecydowanej,

silnej i niezależnej. I takie było ich zadanie, bo właścicielka owych włosów, szarego garnituru, a przy tym również smukłej sylwetki z doskonale zarysowaną talią nie do końca w siebie wierzyła. Za to doskonale maskowała problem z samooceną za pomocą ubrań, dodatków i makijażu.

„Jest dobrze” – pomyślała, po czym niecierpliwie zerknęła w stronę córki, która wciąż rozłożona na fotelu przed telewizorem kończyła kanapkę z żółtym serem.

– Tosia, szybciotko! Raz-dwa! Buty i wychodzimy.

– Pomożesz mi? Ja jestem zmęczooona. – Dziewczynka ostatnią sylabę wypowiedziała przeciągle, a na dowód swojego wyczerpania ceremonialnie osunęła się na oparcie fotela i zakryła usta małą rączką, udając, że ziewa.

– Jasne. Mogę też zanieść cię do samochodu na rękach, weźmiemy do niego kołdrę i poduszkę. Prześpisz się w drodze do przedszkola.

Odpowiedź zbiła z tropu drobną blondynkę o intensywnie zielonych oczach.

– Naprawdę? – zapytała niemal już uszczęśliwiona.

– Nie. Maszeruj do szafy i wskakuj w tenisówki.

Joanna z delikatnym uśmiechem na twarzy patrzyła na córkę, która z nieskrywanym oburzeniem zeskoczyła z fotela i pobiegła do szafy w przedpokoju, żeby odnaleźć w niej swoje buty. Tosia była cudownym dzieckiem. Mimo skłonności do manifestowania swojego niezadowolenia była wesoła, wygadana i uwielbiała przytulać się do rodziców. Kilkadziesiąt razy dziennie powtarzała „kocham cię” do tego, kogo akurat miała pod ręką – mamy lub taty. Zapalona artystka, na wi-

dok farb akwarelowych błyszcząły jej oczy. Pędzlem władała dużo lepiej niż Joanna i zdecydowanie lepiej niż Andrzej. Bez trudu wygrywała w przedszkolu konkursy plastyczne dla najmłodszych, chociaż – w przeciwieństwie do wielu innych dzieci – podczas tworzenia prac nigdy nie korzystała z pomocy rodziców. Miała wspaniałą wyobraźnię. Czasem ta wyobraźnia była w stanie pognać ją do opowiadania niestworzonych historii, i to do tego stopnia, że rodzice nie wiedzieli, co jest prawdą, a co jedynie wytworem dziecięcych imaginacji. Tosia była światłem. Dla swojej mamy absolutnie wszystkim. Pojawiła się dość niespodziewanie i wyrzuciła życie kobiety do góry nogami, zmieniła wszystko. Joanna miała jednak świadomość, że Tosia to najlepsze, co ją w życiu spotkało.

Wyszły z domu spóźnione co najmniej o kilkanaście minut. Droga do przedszkola minęła nerwowo, zwłaszcza dla Joanny, która co chwilę zerkała na zegarek umieszczony na desce rozdzielczej rodzinnego volvo xc60. Światła na skrzyżowaniu zmieniały się zdecydowanie zbyt powoli z czerwonego na zielone, a zdecydowanie zbyt szybko w drugą stronę. Joanna rzuciła pod nosem cichutkim przekleństwem. Nie lubiła spóźniać się do pracy, nie lubiła zwracać tym na siebie uwagi szefa i innych pracowników biura projektowego. Za to Tosia, kompletnie niezestresowana, siedziała w foteliku na tylnym siedzeniu. Odwrócona tyłem do kierunku jazdy nie widziała zegarka, zresztą i tak niczego nie potrafiła z niego odczytać. Podśpiewywała pod nosem piosenkę, której nauczyła się w przedszkolu.

Po piętnastominutowej jeździe dotarły do bramy Prywatnego Przedszkola Językowego Children's Place. Parking

był już prawie pusty po tym, jak rodzice pozostawili dzieci w placówce i ruszyli do swoich codziennych obowiązków. Joanna szybko odprowadziła Tosię do szatni i obserwowała, jak dziewczynka zmienia buty na przedszkolne kapcie. Zazwyczaj opowiadała przy tym różne historie, przez co trwało to długie minuty. Dzisiaj jednak zdawała się poddać nastrojowi swojej matki, która – przez widmo spóźnienia – dreptała w miejscu zniecierpliwiona. Dlatego mała uporała się z butami bardzo szybko, po czym żwawym krokiem ruszyła w stronę sali numer pięć – Mali Odkrywcy. Odwróciła się jeszcze do mamy i posłała jej najśłodszy ze swoich uśmiechów, podczas którego jej oczka zmieniały się w dwie urocze podkówki, niczym u Mamy Muminka. Pomachała żywo i zniknęła za drzwiami, zachęcana przez panią Małgosię, by dołączyła do reszty dzieci.

Joanna pozwoliła sobie na trzy sekundy uśmiechu, patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała jej córka. Często w takich chwilach nachodziła ją refleksja, że mała rośnie zbyt szybko. Jeszcze do niedawna spędzały razem cudowne długie chwile przytulania, karmienia piersią, noszenia w materiałowej chuście. Były nierozłączne, ogromnie ze sobą związane. Joanna przestała widzieć świat poza swoją córką i swoją rodziną. Z całych sił go doceniała, próbowała chronić przed wszystkim, co mogło nim zachwiać. Chociaż nie była przygotowana na pojawienie się dziecka, a informacja o ciąży mocno ją zaskoczyła, nigdy nie żałowała, że swojego życia nie rozegrała inaczej. W roli matki poczuła się potrzebna i spełniona. Andrzej był dla niej ogromnym wsparciem. Zaskaku-

jąco dobrze radził sobie z opieką nad miniczłowiekiem, który ni z tego, ni z owego zaczął zajmować większą część ich łóżka. Nosił na rękach, czytał bajki, kąpał, przewijał i spędzał z małą każdą wolną chwilę.

Zupełnie niespodziewanie zbudowali życie, o którym chyba nawet nie marzyli. Wcześniej Joanna widziała siebie w roli wziętej architektki, która ma swój udział w projektowaniu budynków budzących zachwyt i uznanie. Chciała ciężką pracą zdobywać nagrody, a wylądowała w domu z dzieckiem, pochłonięta pasją rodzicielstwa bliskości i gotowania zdrowych posiłków dla całej rodziny. Zaskoczyło ją, jak bardzo była z tym szczęśliwa.



W biurze projektowym DODORA dzień mijał dość leniwie. Mieszały się tam dźwięki wydawane przez drukarkę, kserokopiarkę i ekspres do kawy. Co jakiś czas wtórował im odgłos dzwoniącego telefonu. Wzrok Joanny co chwilę podążał w stronę prawego dolnego rogu ekranu komputera, gdzie znajdował się zegarek. Kończyła właśnie projekt domku jednorodzinnego, który miał powstać w jednej z podwrocławskich wsi. Nic specjalnego. Kuchnia otwarta na salon, mały pokój na dole, na górze trzy jeszcze mniejsze. Dwuspadowy dach, kilka drewnianych elementów na elewacji. Joanna nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej kariera rozwinęła się w kompletnie inną stronę, niż przewidywała. Była zafascynowana projektowaniem urbanistycznym, chciała wpływać na wygląd przestrzeni miejskiej, sprawiać, by była piękniejsza. Chciała rewitalizować miejskie place, czynić je miejscami, które ludzie pokochają. Tymczasem całe godziny

spędzała na tworzeniu kolejnych, niemal takich samych domków w biurze DODORA. Durna nazwa pochodziła od imion właścicieli, Doroty i Dominika, i kompletnie nic nie mówiła o tym, czym firma się zajmuje, ale to nie przeszkodziło DODORZE stać się jedną z popularniejszych wrocławskich pracowni projektowych, zwłaszcza jeśli chodzi o obsługę klientów indywidualnych. Każdy Kowalski mógł tu zamówić projekt swojego domu za w miarę przystępne pieniądze. W dodatku Dorota i Dominik zdecydowali się zatrudnić Joannę, która po dwuletniej przerwie poświęconej wychowywaniu dziecka wypadła nieco z dynamicznego rynku pracy. Pogodziła się z tym, że być może nigdy nie będzie *tałą* architektką, o byciu jaką marzyła.

Dźwięk telefonu przerwał jej wyliczenia związane z konstrukcją dachu domu. Zegarek, który niecierpliwie obserwowała już od kilku godzin, pokazywał, że jest piętnasta czternaście. Na ekranie nowego iPhone'a pojawiło się zdjęcie uśmiechniętego Andrzeja.

– Stęskniłeś się? – odezwała się delikatnym, choć trochę kocim, zadziornym głosem.

– Asia...

Wiedziała, że coś się stało. Jedno krótkie słowo, ton, jakim je wypowiedział, ten niepokój w głosie. Coś złego.

– Andrzej... mów.

– Jesteśmy w szpitalu, z Tosią.

– Boże... – Zerwała się natychmiast z miejsca i odruchowo chwyciła za torebkę leżącą na niskiej półce obok biurka. W nadchodzącym falami amoku zaczęła szukać kluczyków do volvo.

– Spokojnie, jest w porządku. Zostawią ją tu kilka dni na obserwacji.

Na pytania nie było czasu, choć biegnąc do samochodu, nie odrywała telefonu od ucha. Po policzkach ciekły jej łzy, bo myśl, że coś mogło się stać jej ukochanej Tosi, paraliżowała ją, czyniąc zdolną jedynie do płaczu. Ręce trzęsły jej się z taką siłą, że telefon wypadł jej z ręki, kiedy po skończonej rozmowie próbowała wrzucić go do torebki.

Andrzej pokrótce streścił, co się wydarzyło. Nieuważny kierowca prawie potracił Tosię na przejściu dla pieszych. Wracła z przedszkola, pod opieką taty. Zatrzymali się na jednym z parkingów w pobliżu niewielkiej lodziarni. Mała miała ochotę na lody z cukierkową posypką. Spokojne miejsce, niewiele samochodów, bardzo słaby ruch. Nikt nie spodziewał się tam pędzącego wariata, który za nic ma krążące w okolicy dzieci. Natychmiast po wydarzeniu odjechał z parkingu. Joanna nie pytała, czy policja go zatrzymała. W tej chwili najważniejsza była Tosią.

Wpadła do szpitala po długich kilkudziesięciu minutach spędzonych w samochodzie. Po drodze trzykrotnie przejechała na czerwonym świetle i umykała przed zderzakami samochodów rozwścieczonych kierowców, którzy wjechali już na skrzyżowanie z innej strony. Trąbili na nią i wymachiwali rękami zza kierownic swoich aut. Na parkingu pod szpitalem nie było wolnych miejsc, więc zaparkowała samochód prawie pod samym wejściem, na postoju dla taksówek. Jeden z taksówkarzy zwymyślał ją, kiedy tylko wysiadła, ale go nie słuchała. Trzasnęła drzwiami volvo i nie dbając nawet o to,

by zamknąć je pilotem, pobiegła w stronę oddziału chirurgii dziecięcej.

Tosia leżała na jednym z trzech łóżek niewielkiej, pomalowanej na żółto sali. Z każdej ściany uśmiechały się do małych pacjentów wielkie naklejki przedstawiające postaci z bajek. Kolorowe były też zasłony w oknach. Dzięki temu pomieszczenie wydawało się odrobinę mniej ponure niż zwykła szpitalna sala. Na głowce małej zawiązany był bandaż, dziwnie ją zniekształcał. Wystawały spod niego kosmyki jasnych włosów. Tuż nad lewym uchem pod bandażem widać było sporą gazę, trochę pobrudzoną krwią. Buzia była lekko zdarta, policzek i okolice oka naznaczone różowymi śladami, które wkrótce pewnie zamienią się w pokaźne strupy. Większość małego ciała ktoś okrył szpitalną kołdrą, więc Joanna nie mogła ocenić, czy jej dziewczynka ucierpiała w jeszcze jakiś sposób. Tosia miała otwarte oczy, ale widać było po niej ogromne zmęczenie. Przymykała je delikatnie, jakby z całych sił walczyła, żeby nie zasnąć. Tuż obok jej łóżka siedział Andrzej. Oczy ukrył pod lewą dłonią, opierał na niej głowę. Prawą trzymał za rękę Tosię. Kiedy Joanna zrobiła krok do przodu, a stukot obcasa potoczył się echem po sali, mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na nią smutnym, przeprasającym wzrokiem, choć Joanna nie miała do niego nawet odrobiny żalu. Podeszła do Tosi z drugiej strony łóżka i chwyciła ją za rękę. Była bardzo chłodna.

– Kochanie? Jak się czujesz, moje słoneczko? – Głos Joanny delikatnie drżał, choć starała się robić wszystko, by dać Tosi otuchy swoim spokojem i pewnością.

– Nie martw się, mamó. To boli mało.

Kiedy Tosia uczyła się mówić, bardzo często używała takich słów, by coś ocenić. „To słyhać za mało, daj głośniej”, „To smakuje mocno”. Informacja, że „to boli mało”, przywołała na twarz Joanny delikatny uśmiech. Ścisnęła dłoń dziecka mocniej, na policzku złożyła subtelny pocałunek, by nie spowodować jakiegokolwiek bólu. Potem przysunęła sobie niewielki taboret na metalowych nogach. Usiadła przy łóżku córki, podobnie jak Andrzej. Dopiero teraz spojrzała na męża. Jego twarz nadal wyrażała przedziwne połączenie morderczego strachu z kojącą ulgą. Otworzył usta, chcąc zapewne wytłumaczyć się ze wszystkiego, ale Joanna pokręciła milcząco głową. Dała mu znak, by nie rozmawiali o tym w obecności Tosi. Tymczasem mała zasnęła. Przytłaczającą ciszę panującą na sali przerywał tylko jej miarowy oddech.

Tosię wypisano ze szpitala cztery dni później. Z czasem z buzi dziewczynki zaczęły znikać strupy, Joanna zdjęła bandaż z jej głowy. I miało być już tylko dobrze...